

## Kto wymyślił demokrację?

(dokończenie ze strony 9)

chybnie odgryźć. Ogłosił cię przy tym zdracając powszechnej idei, że nie dzieliłeś równo, że pewnie się nachapałeś, że masz coś do ukrycia.

Nie daj się zwieść – nie rządzą nami idee, a ledwie instynkty głodnego stada i nie ma w nas nic lepszego od całej pozostałej ziemskiej fauny.

A idee? – to czyste urojenia wyjątkowo słabo przystosowanych do walki obiboków i słabeuszy, którzy boją się walki i fizycznej siły. Z intelektu, którego brak innym próbują tworzyć ukrytą broń przeciwko prymitywnej sile i głupocie. By w ten sposób działać przeciw ciemnym instynktom, trzeba się najeść szaleju.

Stado działa jak ćma, która daje się zwozić tylko pochodni łotrów, co przywracają posłuch i pozorny porządek siłą.

Im dłużej żyję i patrzę, tym smutniej mnie – człowiekowi odkrywać tę potworną prawdę, że żyję w stadzie hien i potworów, bo wszak przez całe życie wbijano mi do głowy same nieprawdy.

**Grażyna Adamczyk-Lidtkę**



## Człowiek, którego nie było (fragment)

Okno. Otwarte okno. Otwarte okno wpuszczone w dach. Okno tak typowe dla wszystkich mansard świata. Na parapecie doniczka z czerwono kwitnącym kwiatem, którego nazwy nie znasz i nigdy nie znałeś. Nawet nie wiesz dlaczego tu stoi. Podchodzisz do okna, wychylasz się. Zdumiony kontemplujesz świat zewnętrzny z wysokości trzeciego piętra. Na dole wije się klaustrofobiczna uliczka, widzisz markizy sklepików z owocami, pamiątkami, parasolami i nakręcanymi sprężyną zabawkami z epoki której nie ma. Bruk lśni wodą. Padał deszcz lub przesiąkała się tędy przed chwilą miejska polewaczka. Jest południe lub północ, lub każda inna pora pomiędzy południem a północą. Kocie lby lśnią niczym diamenty. Mleczarz wiezie bańki z mlekiem. Bańki tłuką się o siebie. Kot płoszy parę gołębi. Z kamienicy naprze-

ciw dochodzi dźwięk harfy albo cytry... To grażona tego zapijaczanego Walińczyka zachana w celtyckiej muzyce. Helena...

Stare Miasteczko już dawno przestało być endemicznym miejscem. Martwi cię to odkrycie, chociaż nie wyrwasz sobie z tego powodu włosów z głowy.

A jednak to świt, Słońce z trudnością przebija się przez miejski smog zawieszony nad czerwonymi dachami naznaczonymi smukłymi kominami z których wydobywają się szare strużki dymu. Gdzieś, jakby z innego wymiaru dochodzi dźwięk przejeżdżającego tramwaju, jakieś strzępy rozmów, klakson samochodu. Ta kakofonia dźwięków jest jednocześnie w tobie i poza tobą, ponieważ możesz wygenerować z nich ciszę, ciszę w której można się zatopić, aby odpocząć od myśli – insektów, na które nie wynaleziono żadnego środka, aby się od nich uwolnić. Uwolnić raz na zawsze.

Nobla dla tego, który wskaże drogę do zbawiennego bezmyślenia!

Kawa. Poranna kawa. Ta myśl uwalnia cię od quasi filozofii. Przypominasz sobie prosty rytuał jej parzenia. Z górnej szafki wydajesz pojemnik na kawę. Jest pusty. No tak, przypominasz sobie, że miałeś wczoraj rozpocząć nową paczkę arabiki. Kawa jest w dolnej szafce, jej półkilogramowa zawartość lśni czerwienią sześcianu. Z ociekacza wyciągasz potrzebny do rytuału mały nożyk którym nakłuwasz sześcian w którym uwięziona jest zmielona drobno kawa. Sześcian protestuje mdłym „pssss”, po czym flaczkuje. Teraz, zgodnie z rytuałem próbujesz rozciąć brzeg, niestety, nie jesteś zbyt uważny i jakaś część kawy wysypuje się na podłogę. Odkładasz sflaczały sześcian na szafkę, rozglądasz się za kuchennymi nożyczkami, są tam gdzie być powinny, w drewnianym bloczku na noże. Tniesz równo, starannie, zgodnie z codziennym rytuałem, który trochę zepsułeś odchodząc od ustalonych reguł, próbując zastąpić nożyczki nożykiem.

Teraz przesypujesz kawę do pojemnika. Koniec. Tylko jedna wpadka, których śladów za chwilę się pozbędziesz. Sięgasz po zmiotkę i szufelkę, dokładnie sprzątasz brązowe drobinki, niestety, wiaderko na śmieci, te pod zlewozmywakiem jest pełne, z tak zwanym czubkiem, większość śmieci to byle jak zmieci, zapisane kartki papieru, na jednej z nich, tej niczym wisienka na torcie widzisz literę, czytasz, *człowiek, którego nie było*.

Nie chcesz tego widzieć, (czyżby jakieś traumatyczne przeżycia) wyciągasz wiadro i wkładasz w nie swoją prawą nogę, papier poddaje się bez oporu, historii pozostałych śmieci nie pamiętasz. Wyciągasz nogę, ale wiadro więzi znoszony kapeć, próbując go wyciągnąć, drugą nogą stajesz na odłożoną na bok szufelkę, ta podnosi się i wysypuje się z niej przed chwilą zmieciona kawa. Kłniesz, bo co masz innego zrobić w takiej sytuacji. Uwalniasz zakleszczony kapeć, (do którego czujesz jakąś magiczną empatię) jeszcze raz

zamiatasz kawę, którą wysypujesz do ubitego wiadra. Uf!

*Człowiek, którego nie było...*

Nie chcesz sobie zadawać więcej banalnych pytań, wiesz, że tam gdzie nie zadaje się pytań, nie udziela się też odpowiedzi. A ty, jak zawsze masz więcej tych pierwszych.

Odkręcasz wodę, namydlasz dłonie mydłem w sztyfcie. Chyba nie masz innego mydła oprócz tego. Przynajmniej nie ma go teraz pod ręką. Wycierasz dłonie w ściereczkę wiszącą na plastikowym haczyku przyklepionym do szafki. Po czym nalewasz wody do czajnika. Jesteś oszczędny ponieważ nalewasz odrobinę więcej niż wypijesz, niż mieści się w szklance, do której sypiesz teraz dwie łyżeczki aromatycznej kawy. Woda zagotowuje się błyskawicznie i po kilkunastu sekundach twoja mansarda przepelniona jest aromatycznym zapachem tak charakterystycznym dla wszystkich kafejek świata.

Szklanka z kawą, niczym kadzidełko uwalnia przyjemny aromat. Czasem odnosisz wrażenie, że to przedśmiatek nieba, ale tylko czasem, tylko wtedy, kiedy budzisz się zresetowany, kiedy przeszłość nie obszczekuje cię niczym wiejskie kundele.

Przenosisz wzrok na wiadro ze śmieciami, przydałoby się wyciągnąć worek i założyć nowy, a stary wystawić za drzwi, potem, kiedy pójdziesz błędzić w labiryncie uliczek Starego Miasteczka wyrzucisz go na śmietnik. Ale najpierw poranny rytuał picia kawy? Śmieci wyrzucisz później. Tak, zrobisz to później, pewne czynności trzeba odłożyć na później, choćby takie, jak umieranie... Przyklejasz wzrok do szklanki z kawą, no tak, zapomniałeś przykryć ją szklanym spodkiem jak to robiła twoja mama, szybko naprawiasz swój błąd i teraz kawa zaparza się jak należy. Patrzysz jak fusy powoli opadają na dno. Na dno... Dno? Boisz się tego słowa. Wypierasz je ze swojej świadomości. I nie zadajesz więcej pytań, poza tym ostatnim, paradoksalnym – po co w ogóle zadawać pytania?

Nie wiadomo czym kierowany rozglądasz się po mansardzie, jakbyś szukał jakiegoś zagrożenia ukrywającego się gdzieś w jej zagraconych kątach, za uginającymi się pod ciężarem książek regałami, albo w lustrze, kiedy na nie nie patrzysz. Tego ostatniego boisz się najbardziej, że zobaczysz obcą twarz tuż obok twojej. Skąd ten nagły niepokój? A jednak nie uchronisz się od pytań na które nie ma odpowiedzi.

W takich chwilach dobrze jest podejść do otwartego okna, aby zaczerpnąć świeżego powietrza tak potrzebnego dla uspokojenia. Podchodzisz. Kamienica w której mieszkasz jest na najwyższym wzniesieniu Starego Miasteczka. Słońce na dobre muska już swoimi promieniami czerwień dachów, dachów pokrytych wypalanymi z gliny dachówkami. Ten widok ma na ciebie kojący wpływ i jeszcze ta bryza z pobliskiego jeziora. Jest dobrze. Oddychasz głęboko zapominając o demonicznym odbiciu w lustrze.